№ 36.

Warszawa, dnia 3 Września 1864 r.



TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp, 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr.3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).—**W Cesarstwie i Królestwie**, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.—Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

WYJĄTEK Z PAMIĘTNIKÓW GUY DE FAUR

DZIEDZICA NA PYBRAC.

Zajmujące szczegóły które zamierzamy przedstawić, są wyjęte z nader rzadkiego dziełka wydanego jeszcze w r. 1617 w Paryżu. Autor nader czynną odgrywał rolę, przy boku Henryka Walezjusza aż do ostatniéj chwili, kiedy po ucieczce jego, Stany Rzeczypospolitéj w r. 1575 uznały tron za wakujący. Był on radcą tajnym i prezydentem parlamentu paryzkiego, a jako wymowny, przytomny, pełen światła i nauki, zjednywał dla siebie wszędzie uznanie swych znakomitych i niepospolitych zdolności. Francja wówczas w najokropniejszym znajdowała się stanie, szarpana wewnętrznemi niezgodami, stronniczą walką katolików i protestantów, zadłużona i wycieńczona w rozpaczliwém osłupieniu patrzała na intrygi, zbytki i bezeceństwa dworu, i na zabiegi przewódzców religijnych, którym o religją podobno szło bardzo mało.

Krajem wszechwładnie niemal rządziła Katarzyna de Medicis, synowica papieża Klemensa VII, włoszka rodem, pełna przebiegłości, dumy i pychy, a przytem piękna, majestatyczna w samém sile wieku. Żyjąc w długoletniéj pokorze po śmierci męża Henryka II, króla niezmiernie słabego, kochana od synów, chociaż samowładnie niemi rządziła, nieporównana w sztuce podbijania umysłów, myślała nie o szczęściu królestwa w którém była obcą, nie o podniesieniu katolicyzmu, bo wiary nie miała żadnéj, ale o utrzymaniu się przy najwyższéj władzy. Co do stronnictw dobijających się współudziału w zarządzie kraju, tych było dwa. Na czele jednego katolickiego, znajdowali się książęta Lotaryngji Gwizjusze, których było sześciu: na czele zaś drugiego reformowanego, późniéj zwanego Hugonotami stał Gaspar de Coligny śmiertelny wróg Gwizjuszów, zarówno z interesu jak z przekonania religijnego i niesłychanéj dumy, a przytem głęboki polityk, uparty demokrata

a w postępowaniu zawzięty arystokrata. Stronnictwo to zwało się partją książąt krwi, gdyż należeli jeszcze do niego: król Nawarry Antoni de Bourbon, brat jego Ludwik książe de Condé i Franciszek de Coligny brat Gaspara.

Katarzyna pragnąca uchodzić zawsze za gorliwą katoliczkę, chociaż nienawidziła zawadzających sobie Gwizjuszów, starając się jednak otrząsnąć z pod wpływu faworytów zmarłego króla, porozumiała się z niemi i Dijana de Poitiers poszła na wygnanie a przychylny jéj konnetalb Anne de Montmorency zbliżył się do Burbonów czyli partji książąt krwi. Skutkiem tego król Nawarry Antoni de Bourbon przyjęty został z największą oziębłością, a Gwizjusze wynieśli się na najwyższe urzędy, depcząc reformowanych, którym nawet pod karą śmierci, zabroniono zgromadzenia się.

Prześladowanie to, zamiast zniszczyć, podniosło jeszcze bardziéj fanatyzm reformowanych, którzy przybrawszy tytuł Hugonotów, od imienia związkowych szwajcarskich, postawili na swojém czele księcia de Condé z myślą pozbycia się Katarzyny de Medicis i książąt Lotaryngskich Gwizjuszów. Przytém postanowiono żądać od króla Franciszka II wolności wyznania dla reformowanych, a gdyby tego odmówił, miano zmusić go do mianowania księcia de Condé namiestnikiem królestwa, a Gwizjuszów uwięzić. Spisek ten nie powiódł się, a spiskowi schwytani w liczbie tysiąca dwuchset, wszyscy wyginęli na szubienicy lub w nurtach Loary. Jednocześnie za podniętą parlamentów, lud z największą zaciętością powstał przeciw kalwinistom i wszędzie wybuchła wojna domowa, tém zawziętsza i okrutniejsza, że była prowadzona pod hasłem religijném. Gwizjusze jednak nie zadowoleni, że książe Condé wyłączony urodzeniem od zwykłéj procedury sądowéj, został uniewinniony, postanowili zgubę jego i gdy Gaspar de Coligny ogłosił się naczelnikiem Hugonotów, zwołali stany generalne do Orleanu, tymczasowo zawieszając wszelkie egzekucje.

Nie podejrzywając zasadzki Antoni de Bourbon Król Nawarry i brat jego Ludwik książe de Condé, przybyli do Orleanu i zaraz na mocy listu żelaznego, król Nawwarry wzięty był pod pilny dozór, a książe Condé na tortury. Skazany późniéj na śmierć miał ją ponieść w sam dzień Bożego Narodzenia, a Gwizjusze mając w swém ręku przewódzców hugonotów zmusili ich do podpisania wyznania wiary, które stać się miało obowiązującém dla całego kraju, chwaląc się, że tym czynem odrazu pokonali bunt i herezją. Tym sposobem przewaga Gwizjuszów niezmiernie wzrosła i stać się mogła nader groźną dla saméj Katarzyny de Medicis. Tego właśnie dumna ta kobiéta nie życzyła sobie, i jak tylko umarł król Franciszek II w siedemnastym roku życia, objąwszy regencją w imieniu Karola IX dziesięcioletniego, drugiego swego syna, księcia Condé uwolniła od śmierci, uznając go zupełnie niewinnym, królowi Nawarry przyrzekła tytuł namiestnika królestwa Francuzkiego, a chociaż Gwizjuszów utrzymała przy władzy, jednak oddaliła konnetabla gorliwego katolika, a zbliżyła się do admirała Gaspara de Coligny jawnego protestanta stojącego na czele Hugonotów i we wszystkiém rad jego zasięgała. Tym sposobem oba stronnictwa przyciągnęła do siebie, starając się równoważeniem ich potęgi, obrócić je na posłuszne narzędzia dumnych swych widoków. Gwizjusze zrozumieli to, a gdy Katarzyna udzieliła wszystkim Hugonotom przebaczenie za przeszłość, marszałek de Saint-Andre, Konnetabl Montmorency i książe Gwizjusz, zawiązali ligę niby w celu obrony zagrożonego katolicyzmu, a w rzeczy saméj, w chęci odsunięcia od rządu Hugonotów i tém samém wytrącenia władzy z rąk przebiegłéj Włoszki.

Tymczasem protestantów liczba niezmiernie rozszerzała się w kraju, tak dalece że miewali zgromadzenia publiczne i liczyli półtrzecia tysiąca kościołów. Przerażeni tém Gwizjusze, zaczęli króla Nawarry obietnicą zwrotu utraconego królestwa, przyciągać do swojéj partji. Ujęty ponętną nadzieją, chętnie przyłączył się do ligi, wówczas Katarzyna niewyczerpana w środkach, zbliżyła się do księcia Condé a protestantom udzieliła wolność wyznania, ale za obrębem miast i bez przeszkadzania katolikom. To dało nowy powód do wojny domowéj i po jednéj stronie stanęli Gwizjusze przeciw Hugonotom, królowéj i małoletniemu królowi, po drugiéj, w obronie tronu książe Condé z Hugonotami.

Katarzyna nie czując się bezpieczną, wraz z synem uciekła z Paryża, ale książe Gwizjusz z kolegami ligi aby nadać sobie pozór legitymiczności, porwał króla z matką. W tak smutnych okolicznościach książe Condé opanował Orlean miasto piérwsze po Paryżu i powoławszy Hugonotów których tu znaczna znajdowała się liczba utworzył związek w celu uwolnienia królowéj i króla. Rzeź więc wzajemna z nową powstała srogością, niszczono pomniki, rabowano skarby kościelne; tryumwirat to jest liga ogłosiła protestantów za buntowników; książe Condé ogłosił Gwizjuszów za nieprzyjaciół kraju, i oba stronnictwa obrzucając się obelgami, mordując się i prześladując u postronnych krajów, szukały wsparcia i posiłków. W tém król Nawarry, zarówno pyszny jak śmiały

zacięty teraz nieprzyjaciel nowéj wiary, umiera pod murami Rouen; książe Condé dostaje się do niewoli, a Gwizjusz ginie pod zdradzieckim ciosem jakiegoś zagorzalca z Orleanu. Katarzyna dowiedziawszy się o śmierci najniebezpieczniejszych swych nieprzyjaciół, odetchnęła z dawną swobodą po raz piérwszy, zresztą ligi ułożyła się o pokój, i Edyktem wydanym w Amboise, udzieliła reformowanym wolność wyznania i przebaczenie za przeszłość.

Chociaż zatargi wewnętrzne i krwawa domowa walka, Francję nietylko niezmiernie wycieńczyła, ale i dług państwa podniosła do sześćdziesięciu miljonów, Katarzyna dwór utrzymywała z niezmiernym zbytkiem i przepychem niepraktykowanym w całéj Europie. Biesiady, zabawy, świetne przejażdżki, polowania, gonitwy, teatra, następowały po sobie w nieprzerwanéj kolei, a chcąc zbytek łączyć z wdziękiem, panien honorowych wybieranych z najpiérwszych domów, odznaczających się pięknością i powabem, utrzymywała sto pięćdziesiąt. Takiemi to środkami, ponętem zabawy, pochlebstwem, zalotnością, a nawet przekupstwem, zjednywała sobie najzaciętszych nieprzyjaciół, którzy nikczemniejąc do reszty, pozornie ulegli i przyjacielscy, skrycie nienawidzili Katarzyny, i jak to mówią radziby ją byli utopić w łyżce wody.

Za przykładem dworu, nurzającym się w pogańskiém bezeceństwie, wszystko odwzorywało się na sposób rzymski lub grecki. Literatura przesiąkła mitologiczną szkaradą, miłostki zdarły wstyd z kobiecego czoła, stadła małżeńskie żyjące cichem szczęściem, obrzucono szyderstwem, poezję przemieniono w panegiryzm, słowem prawdę przezwano kłamstwem a kłamstwu głoszono tryumf, podnosząc je wysoko i korząc się przed niém w ostatniém upodleniu.

Za to reformowani odznaczali się skromniejszém i poważniejszém życiem, z pism ich wiał duch biblijny, wskazujący ludziom cel wznioślejszy życia niż samo używanie rozkoszy światowych, w jakiém nurzało się prawie całe ówczesne społeczeństwo. Katarzyna oceniając ważność podobnego stronnictwa, nie pomiatała niém, tylko lawirując pomiędzy przeciwnemi sobie partjami, starała się osłabić jedno przez drugie, żeby nad obiema módz zapanować. Obie więc partje: tak katolicka, jak Hugonotów, zniechęciły się do niéj, co zobaczywszy Katarzyna i widząc że raz musi stanowczo zrobić wybór między stronnictwami, wybrała katolickie i przyłączyła się do Hiszpanji. Zguba więc hugonotów została pastanowioną, czego domyśliwszy się książe Condé i admirał Gaspar de Coligny, główni przewódzcy reformowanych, podburzyli swoich stronników i dla bezpieczeństwa, zajęli wiele miejsc warownych. Katarzyna widząc przeciwników silnemi, ukorzyła się, aby ich tém łatwiéj potém zgubić. Zawarto więc pokój, z przyrzeczeniem korzystnych ustępstw, ale jak tylko zastępy zbrojne rozesłane zostały do domu, podburzono lud, i ten rzucił się na Hugonotów z największą wściekłością. Książe Condé i Admirał uniknąwszy zasadzki w któréj obadwa o mało niedostali się w ręce chytréj włoszki, udali się do Roszeli głównego stanowiska hugonotów. Znowu więc wybuchła rzeź zajadła, w któréj obie strony walczyły o piérwszeństwo w okrucieństwie, srogości i barbarzyństwie. Katarzyna pragnąca raz położyć tamę wojnie nie mającéj końca, zawarła nowy traktat pokoju z walczącymi, aby uśpiwszy czujność protestantów, zgnieść ich potém na miazgę bez powstania. Pokój ten, to pogodzenie się dwóch nienawidzących się stronnictw i zbliżenie dwóch religji do siebie, obchodzono z niezmierną uroczystością. Ściskano się, całowano, zaprzysięgano przyjaźń na wieki, rozczulano się, ale w pośród tych oznak sztucznéj przyjaźni, Katarzyna na chwilę nie zapominała o umocnieniu swojéj władzy i najmowała zbójcę dla zamordowania admirała Gaspara de Coligny, jedynéj już przeszkody jéj wszechwładztwu. Książe bowiem Condé przedtém jeszcze poległ w bitwie pod Jarnac w 39-tym roku życia.

Kiedy zamach nie udał się i admirał odniósł tylko lekką ranę, hugonoci wzburzyli się i domagali od króla sprawiedliwéj na zbójcę kary, grożąc, że ją sami wymierzą, jeżeli ta im odmówioną zostanie. Wówczas Katarzyna lękając się być odkrytą, oświadczyła Karolowi IX, że przy obecnem usposobieniu stronnictw i postanowieniu ligi, obrania innego króla, dwie pozostają drogi do działania, albo połączyć się z hugonotami i zniszczyć partję Katolicką, albo oba stronnictwa poróżnić między sobą i rozpaliwszy między niémi walkę, zabezpieczyć się tym sposobem od ciosów, jakieby mogły w połączeniu przeciw tronowi wymierzyć. Że w walce téj kraj nowemu ulegnie zniszczeniu, że zubożony już domową wojną w nowych zaburzeniach, może dojść do zupełnego wycieńczenia, że wreszcie postępowanie takie nie jest godne ani majestatu królewskiego, ani naturalnych uczuć ludzkich, o tém nawet nie było mowy. Tu szło o wzmocnienie władzy i usunięcie przeszkód tamujących jéj wzrost, na rozprawy więc o podobnych drobnostkach nie było czasu.

Na naradę przybył książe Gwizjusz niby reprezentant uczuć ludowych i główny sprawca zamachu na życie admirała; król Karol IX dwudziesto-

dwu letni młodzieniec drżący ze strachu i bojaźni, podejrzywający wszystkich o spiski, niewierzący nawet własnéj matce i niepełnoletni jego brat Henryk książe Andegaweński, któremu późniéj w lat parę ofiarowano koronę w Polsce. Naradzie przewodniczyła królowa matka Katarzyna de Medicis, a przedmiotem jéj była rzeź hugonotów na którą po obszernych rozprawach i rozbiorze wszelkich następstw, strwożony Karol IX zezwolił.

(d. c. n.)

---

* * *

Nic zabawniejszego, śmieszniejszego i nudniejszego zarazem, jak literackie jeremjady *na obojętność ogółu, niestałość opinji, nie wyrobienie poczucia obowiązku,* i inne tym podobne wadliwości czytającéj części narodu. Niech jaka książka dla braku kupujących nudzi się na pułkach księgarskich, niech jakie pismo perjodyczne zobaczy się opuszczane przez najwierniejszych swych prenumeratorów, zaraz z różnych stron podnoszą się chóry szyderczych wyrzutów, i chłoszcząc przymówkami, palą hymny pochwalne upadającym lub niepoznanym wielkościom. Dla publiki ma się rozumiéć nie szczędzi się słodziutkich, w patryotyzm owiniętych słówek, ale kolących, szczypiących i tłukących zarazem jak nie przymierzając, kawały cukru natarte ananasem, któremi i osłodzić i nawąchać i uderzyć boleśnie można. Taką świętością otoczona książka męczennica, z poddaniem się i odwagą idzie na pastwę kurzu, moli i zapomnienia.... krzyżowane zaś pismo znikaniem prenumeratorów, z rumotem zamyka podwoje redaktorskie, i z burzącéj wściekłością piersi, wyrzuca w świat westchnienia, mające znaczyć: patrzcie jakim wielki, i mądry! a wy jacy malutcy, i.... ciemni.

Wprawdzie chęć w nas czytania i nauki, podobna jest jeszcze bardzo do pisklęcia wysuwającego z gniazdka delikatny dziobek do światła i pokarmu, ale jednak jest bez zaprzeczenia i choć leniwo i powolnie, ale rozwija się, powiększa, wzrasta i przy pomocy Boskiéj i usunięciu przeważnych przeszkód, zatoczy szerokie koło, promieniem wnikającym w najciemniejsze społeczne zakątki. Zdarzy się zatém czasami, że zasługa pracy literackiéj, gdzieś w cieniu zapomnienia, czeka uznania i rozgłosu, ale błąd ten, wspólny wszystkim ludziom, nie zawsze u nas dotyka zapomnianéj książki i upadającego pisma, chociażby mądrze i uczenie redagowanego.

Świeżo, bo z dniem piérwszym Lipca, gazety doniosły, o upadku Roczników gospodarstwa krajowego, skutkiem jak oświadczono *obojętności ogółu.* Rzecz jednak szczególna, że obojętność tę dając za jedyny powód upadku, sprawozdawca powiada, że Roczniki przedtém liczące prenumeratorów na tysiące, nagle zeszły na *siedmdziesiąt kilku.* W fakcie tym, obojętności trudno upatrzyć, owszem, widziémy wielkie zajęcie, które bez ważnych powodów nigdy się nie ulatnia jak kamfora. Pisma bowiem cieszące się takim rozgłosem wprawdzie upadają, ale zwykle z winy redakcji, i choć w pracy zaniedbane i opuszczone, wloką jeszcze długo żywot swój, karmiąc się minioną zasługą, jako słusznie zdobytym rozgłosem i uznaniem. W tém drugiém przejściu, jeżeli redakcja z użytych żywiołów nie zastąpi nowemi, jeżeli myślą nie wniknie w potrzeby społeczne, nie rozważy je, nie rozstrząśnie, i pracy swéj do nich nie stosując, pójdzie drogą na którą zeszła, wówczas liczba prenumeratorów zmniejsza się, uszczupla i pismo kończy swój żywot bez szkody i żalu czytającéj publiczności. Nie wiem, ilu Roczniki miały prenumeratorów w roku piérwszym swego założenia, ale wiem, że było ich tylu iż jak na ówczesne czasy, stanowiło to dosyć świetne powodzenie. Wprędce jednak wszyscy prawie prenumeratorowie odpadli, i zostali sami tylko akcjonarjusze, którym zapewne wzgląd przyzwoitości nie pozwalał odstępować pisma będącego ich własnością. Późniéj Roczniki przemienione w organ Towarzystwa Rolniczego, oprócz członków prenumeratorów, miały kilkuset obcych, i rosły coraz bardziéj w liczbę czytelników. Po zamknięciu Towarzystwa, prenumerata galopująco spadając, przyszła wreszcie do cyfry fatalnéj, mniejszéj o kilka dziesiątków, od téj, jaką zastała przemiana Roczników na organ Towarzystwa. W tak więc gwałtowném upadku pisma, czyż podobna wszystko składać na obojętność ogółu? Czyż nie właściwiéj szukać przyczyny i w redakcji, jak rzucać kamień potępienia na ten nieszczęśliwy ogół, choć przyciśnięty strasznému brzemieniem grzechów przeszłości, dźwigający się jednak do światła, wiedzy i nauki?

Odurzeni własną chwalbą sypaną wzajemnie sobie aż do znudzenia, upadli na duchu potwarczemi głosami niechętnych, w tém lawirowaniu między fałszem i pochlebstwem, czas wielki, abyśmy nauczyli się słuchać prawdy choć ostro wypowiedzianéj, i głosić ją śmiało, pismem i mową. Odrzucając więc filgranowe grzecznostki i kwieciste słówka, ową broń salonowych bohatérów, z nikczemném chwaścikiem wielkie mających podobieństwo powiem otwarcie, że Roczniki upadły, nie samym skut-

kiem *obojętności ogółu, niestałości opinji, lub nie wyrobienia poczucia obowiązku,* jak się sprawozdawca wyraża, ale upadły i z winy saméj redakcji, umiejącéj wiele mówić naukowo i o nauce, a nie pojmującéj rzeczywistych potrzeb ogółu i tem samém nie umiejącéj do niego przemówić. Słowem, Rocznikom brakło praktyczności, jakiéj szuka każdy rolnik, owego objaśnienia postępu wszelkich czynności, z jakiemi w zajęciu swém spotyka się co dzień, a niemal co chwila. Były one zawsze uczoną pogadanką, rozprawą pańską po sutym obiedzie i w pośród woni dwuzłotowego cygara, wędrówką myśli w krainie marzeń gospodarczo-naukowych, lub rzeczywistości dla nas będącéj marzeniem. Dla ogółu zatem gospodarzy, szukających nie zabawy ale pożytku, nie popisów badania nauki, ale pragnących jéj zdobycze stosować, były zupełnie niepraktyczne i nie odpowiednie; dlatego upadły jak upada każde pismo, redagowane według usposobienia i chęci pewnego kółka a nie większości narodu, i dlatego przez złączenie z Towarzystwem, podniosły się niezmiernie, bo stały się rzeczywistym organem rolnictwa krajowego, jego potrzeb i usposobienia.

Dla czego redakcja porzuciła drogę na którą wejść została zmuszoną, i cofnęła się do dawnéj rutyny, która Roczniki wyzuła ze wszystkich prenumeratorów? trudno zaiste odgadnąć. Mówiono, radzono, przedstawiano.... milczący uśmiech, który wiecie co znaczy, był zawsze na te poczciwe rady odpowiedzią i redakcja szła swoją drogą nieoglądając się ani w prawo ani w lewo. Później wystąpiła z konkursem dotyczącym umniejszenia wyrobu i konsumpcji wódki; przeciw jego niepraktyczności i marnowaniu pieniędzy, wystąpiono z uwagami; redakcja znowu się uśmiechnęła w milczeniu, pieniężną nagrodę powiększyła i znowu szła daléj i daléj. Konkurs do niczego nie doprowadził, pieniądze przeleżały bez żadnego dla kraju pożytku, a redakcja już przestała iść daléj i daléj, bo brakło prenumeratorów i zobaczywszy że ją wszyscy odstąpili... powstano na *obojętność ogółu, niestałość opinji i nie wyrobienie poczucia obowiązku.*

Mógłby kto zarzucić, że nie odmawianiem wartości naukowéj Rocznikom, podnoszę ich znaczenie ale nie zapominajmy, że nie to mądre co naukowe, ale co pożyteczne i praktyczne, i że zarówno książka, pismo lub nauczyciel, pomimo całéj pretensji do nauki i nieomylności, nie wiele co warci, jeżeli czytelników i uczniów, nie przynęcają do siebie ale odstraszają. Nie kraj jest dla piśmiennictwa i redaktorów, ale oni dla kraju, tak więc powinni pracować, jak tego potrzeba większości wymaga, a nie koterja, chociażby przepełniona tytułami i herbami.

W Warszawie cicho choć rojno, tylko w Saskim ogrodzie skryta toczy się walka między kufelkami sodowéj a raczéj gazowéj wody, spadłych w cenie nagle z piątki na dwa grosze. Więc była słuszność w powstawaniu na jéj wygórowaną cenę bo wątpię ażeby instytut w Saskim ogrodzie, uniesiony skruchą, chciał obecnemi niedoborami, wynagrodzić dawne nadbory.

W Anglji narzekają niezmiernie na szerzenie się między małżeństwami gorączki rozwodowéj. Moralność zatém wzrasta, bo dawniéj i łączono się i rozłączano, bez żadnego o formę kłopotania się. We Francji pan Rufin zbiera trzewiki wszystkich tancerek wielkiéj opery, i kapelusze tegoczesnych francuzkich uczonych, jako okrycia członków ludzkich współzawodniczych dzisiaj z sobą w znaczeniu i wartości. W Austrji niejaki Juljan Donato jedno-nogi, tańczy na szczudle z nadzwyczajną zręcznością, i tak zgrabnie wykonywa piruety, skoki i antrsza, że mają mu uciąć drugą nogę jako zawadzającą, a obsadzić szczudło. We Włoszech wynaleziono mięszaninę woskową, którą napuszczony mundur, czyni nie przebitym przez kule karabinową. Teraz ogłoszono konkurs, na wynalezienie kul, któreby nie zabijały, lanc i bagnetów coby nie kłuły i pałaszy nie płatających. W Ameryce wreszcie na zatapianie pancerników przygotowano okręt podwodny w kształcie żółwia uzbrojony z przodu potwornym szponem. Jeżeli wynalazek okaże się praktycznym, mają go zastosować do wciągnięcia całego południa Ameryki na dno oceanu.

Z WIKTORA HUGO.

DO WIDZĄCYCH NAS ANIOŁÓW.

Kto jesteś duszo! znałem cię w życiu,
Ale nie mogę poznać w téj dobie,
Gdy jesteś cieniem, we mgły powieciu?
„Jam twoja matka, jam to przy tobie!
A ta świetlona, drżąca duszyczka,
Co wzrok z słodyczą, zwraca w zachwycie,
Kto jest? „Jam twoja przecieć siostrzyczka,"
A tyś kto znowu? „Jam twoje dziecię!"
A któż jest jeszcze, ta dusza jasna?
„Ta, którąś piérwszą kochał w młodości!"
A ty? „Ja jestem twa dusza własna!"
O nocy, w swojéj skryj mnie ciemności!

Jan Prusinowski.

ROZMAITOŚCI.

Pamiętniki o Janie Śniadeckim *). Piękne nasze czytelniczki przastraszyć się mogą wzmianką o człowieku który przez całe życie ślęczał nad długiemi astronowicznemi rachunkami i z całą surowością piastował wysoką godność rektora. Ale bądźcie panie spokojne! z tych tomów olbrzymich któremi się przysłużył historyi oświaty krajowéj zmarły niedawno Michał Sabiński, o zawierających życie od kolebki do grobu uszczkniemy tylko kilka moratków do naszego bunietu. Zresztą czyż życie uczonego macie sobie wiecznie przedstawiać zapięte pod brodę w szlafrok pedantyzmu? Niestety i uczeni są słabemi śmiertelnikami, a przyszły rektor uniwersytetu tak dobrze jak zwykły śmiertelnik zakochać się może zwłaszcza gdy ma lat ośmnaście a panna piękna. Śniadecki, przyszły astronom i rektor, nie był lepszym od innych i oddając hołdy ślepemu bożkowi miłości, zakochał się w pannie G.... mieszkającéj z rodzicami w Krakowie. Była to piękność nadzwyczajna która na młodym professorze ówczesnym wielkie wrażenie sprawiła. Kochał ją z całym ogniem piérwszéj miłości tym więcéj im mocniéj się przekonywał że mu wzajemną była. Losy obrotne (!!) jak zwykle dla tych którzy się pierwszy raz i szczerze kochają rozłączyły parę, a pasma pełniąc kornéj córki okowiązki oddała swą prześliczną rączkę innemu. Młody uczony bawił już zagranicą gdy go tu wiadomość doszłą. Bolał w żalu i wspomnieniach przeszłości a chociaż nieraz probował Werrherowskiego losu, postanowił przecież że się już z nikim nieożeni, i przeczeniu temu do grobu powstał wierny, w czem niezupełnie już naśladował zwykłą śmiertelników i kochanków modnych.

Postanowienie to surowe, a co więcéj owe uczone prace, którym się z takim zapałem oddał, dziełąc swój nos między obserwatoryum i obowiązki publiczne, niepozbawiły go przecież czułéj ręki niewieściéj niosącéj przyjaźń i wszystkie przyjemności tego tkliwego uczucia. W osobie pani Chłoniewskiéj znalazł on ten skarb wiernéj i bezinteresownéj przyjaźni. W ówczesnem wykształceniu żnakomitych majątkiem i urodzeniem Polek, nizraz można było dostrzedz ów wyższy polot ku nauce zaćmiony światowemi względami i przyzwyczajeniami drobiazgowemi wielkiéj damy. Wrodzone talenta, znakomite wykształcenie, szlachetne porywy duszy graniczyły z miękkością, chwilowem zajęciem się światem i złudnemi jego powabami. Takich kobies koniec wieku zeszłego liczył mnóstwo. Wywierały one wpływ ogniskując najrożnowadniejsze żywioły które przyprowadzały do zgody doskonałą swą czułością sprzężoną z wytrawnym rozumem. Uczone i surowe sawantki rozprawiające o astronomii lub polityce a zarazem czule gołębice, lub figlarne kotki w zaciszy swych pełnych miłosnéj woni búduarów. Przyjaciółka Śniadeckiego nieoddalała się od tego typu epoki bardziéj skupiając jego światło niż ujemne zęsy. W ciągu podróży po Europie jaką odbył Śniadecki z panią Ch. znakomita ta dama dzieliła całe zajęcie swego uczonego przedmiota. W Paryżu uczęszczała na lekcje najznakomitszych professorów Biota, Foureroy, Cuviera, Gerata i Gnignéné studjując zarówno ciekawe doświadczenia fizyczne, chemiczne i motyle kości zaginionych zwierząt, jak i umarłe języki lub dzieje nowoczętnych narodów. Nie przeszkadzało to przecież ani świetnych przejęciom salonowym, ani modnym kąpielom w Spa lub ciekawym wycieczkom po Holandji i Włoszech...

Śniadecki dzielił z nią i zabawy i przewodniczył nauce... a przyjaźń téj kobiéty wyższéj rozumem zacnéj sercem stroiła mu chwile wytchnienia nim znowu powrócił do swych obowiązków rektora i publicznego człowieka. A nawet gdy już w końcu życia usunął się z pola działalności w zacisze domowego ogniska, i tam żywą prowadził z uczonemi polkami korrespondencją między któremi najtrwalszą z p. Marya z Dzieduczyckich Morską znaną matroną u swego przywiązania do nauk i kraju. Oto moje czytelniczki kwiecie dłonią niewieścią rzucone na ciernistą drogę uczonego i znakomitego rektora Wieleńskiego uniwersytetu, człowieka którego cała uczona Europa znała i ceniła. Szchupła drobne kwiatki piéwszéj miłości, tkliwéj przyjaźni ale uśmiechnięte pogodnie jak pogodnym blask słońca na czystem błękicie nieba po burzy. Jle zaś tych nawałnie w życiu dowiedzcie się już z pamiętników, które świeżo wyszedłszy zaciekawiają swoją ważnością i treścią świat czytający a które my także waszéj uwadze polecamy.

*) Wilno. Rok 1865 dwa wielkie tomy.

Nowości Zagraniczne.

L'estafette. Moda w Sierpniu mało przedstawia zajęcia wyczerpały się bowiem letnie stroje, a nowe pomysły modniarek, spoczywają w ukry-

ciu, czekając na porę jesienną. Przytoczemy tu jednak kilka toalet letnich odznaczających się dobrym gustem.

Suknia popielata alpagowa, wycięta u dołu w okrągłe zęby, obszyte gładką wstążeczką fijołkową. Nad tém wyżéj o ćwierć łokcia, rusza z alpagi, z wypustką z fijołkowéj materji. Z pod ruszy spadają pukielki z wąskiéj wstążki fijołkowéj, w sposób ten, że każdy z nich powinien trafić w środek zęba. Do tego paletocik odpowiednio przybrany. Tak samo można ubrać suknię popielatą, mantyną czarną lub szafirową.

Suknie na codzień lub do podróży robią prawie wszystkie z wycinanemi u dołu zębami, i objęte wstążeczką, w kolorze szafirowym lub fijołkowym, przybranie kapelusza powinno być odpowiednie.

Z sukien więcéj strojnych przytaczamy jednę z gazy Chambery, koloru lilla w ciemniejszy deseń. Spódnica, wygarnirowana u dołu trzema ruszami w festony. Do tego takaż sama rotonda, z odpowiednim garnirunkiem.

Fraki do sukien szczególniéj przyjęte u wód, w Paryżu kryją się pod rotondą albo krótkim burnusem. Fraki te spięte w górze na jeden podwójny guzik, mają boki zaokrąglone, z tyłu zaś długą baskinę śpiczastą. Pod spód idzie koszulka muszlinowa, z żabotem z dosyć szerokiéj walansienki. Dla osób szczupłych stanik taki dosyć zręcznie wygląda, ale poły nie powinny nigdy przechodzić trzeciéj części spódnicy.

Fulary najmodniejsze w drobne podłużne paski, fijołkowe lub lilla z białem. U dołu ubierają je potrójnym rzędem ruszy z gładkiéj materji fijołkowéj lub lilla. Najwyższa rusza, zawraca się w górę na każdym brycie, przynajmniéj na ćwierć łokcia.

U wód i na wsi widzieć się daje mnóstwo kapeluszy okrągłych ze słomy wszelkiego rodzaju. Noszą także bardzo kaszkieciki zwane *Wiktorja*, pokryte zawsze woalikiem. W ogóle wszystkie te kapelusiki przybierają pękiem piór strusich, i aksamitną kokardą. Niektóre zdobią pawiemi, bażanciemi, lub orlemi piórami.

W Paryżu na ulicę, używają zwykle kapeluszy zwyczajnych, wiązanych pod brodą miejsce karczków, zastępują po prostu kokardą, z końcami spadającemi na warkocz który wygląda z pod główki. Przytaczamy nakoniec kilka ubrań dziecinnych.

Ubranie trzyletniéj dziewczynki. Sukienka z alpagi białéj, z takąż samą falbanką naszytą w zęby. Falbanka zwęża się w górze każdego zęba. Na przyszyciu galon kaszmirowy, który przechodzi powyżéj każdego zęba i krzyżuje się jeden z drugim tworząc literę X. Rękawki krótkie przybrane odpowiednio. Stanik wycięty czworograniasto obszyty, w górze falbanką. Pasek z okrągłym bawetem obszyty galonem kaszmirowym, zakończony z tyłu, dwoma puklami bez szarf. Kapelusik słomkowy, przybrany niebieskim aksamitem.

Ubranie dla czteroletniéj dziewczynki. Spódniczka z alpagi, w niebieskie paski na tle białem, krajana kulisto; paski schodzą się z sobą na przodzie i z tyłu. U dołu ruszka niebieska, szelki wygarnirowane takąż ruszką. Kokardy na ramionach. Koszulka muszlinowa w zakładki, ogarnirowana tiulikiem.

Najekscentryczniejsza i najbardziéj oryginalna moda zastosowana do wieku, fizognomii, figury, tuszy, wzrostu osoby która ją przyjęła, z korzyścią zastosowana zawsze być może, stanowiąc świeżo i pełne gustu ubranie. Przeciwnie znowu niewolnicze trzymanie się przepisanéj mody kroju lub koloru, nieraz z ładnéj osoby karykaturę, z poważnéj matrony pełną śmieszności istotę zrobi.

Czerwony kolor w ogóle bardzo przyjęty. Od piętnastu lat nigdy nie noszono go tak wiele. Ubierają pąsowym, kapelusze, do ciemniejszych choćby piórko lub kitkę jaskrawą przypinają. Kliny u pończoch, oszycia i ubrania trzewików, spódniczki, spódnice całe, lub garnirunek tychże musi bydź koniecznie pąsowy. Okrycia nawet, obejmują pasmanterją lub skosem tego koloru; bluzki tak lekkie jak jedwabne, kamizelki pod kaftaniczki i kołnierzyki bawełną lub jedwabiem czerwonym haftują, słowem dziś zdaleka ubranie elegantki bije w oczy, jaskrawe barwy w oddaleniu już nam ją zwiastują. Zastosowanie przez jedną z naszych modystek jednego i tego samego rękawa tak do paltota jak do sukien bardzo praktyczną jest nowością. Wykrój pachy u paltota zdobią epoletem, ruszą lub stosownym do całego przybrania garnirunkiem na lato wcale to niezły pomysł, bo podwójne rękawy prawdziwą mękę podczas upału zadawały.

Białe muszlinowe w deseń kaftaniczki ładną i świeżą nowością tego lata. Noszą je tak na sukniach materjalnych lub fularowych jak na wyciętych staniczkach lekkich sukien. Suknie jednak do muszlinowego kaftanika zwykle w jasnych kolorach bywają. Kaftaniczki te niezupełnie wpadają do stanu. Dla młodych panieneczek ubierają je zwykle tylko taką samą rurkowaną falbanką zakończoną nagłówkiem niezbyt szerokim. Młode zaś panie zdobią je znowu koronką, gipiurą białą, lub wreszcie falbanką muszlinową zakończoną walansienką.

Pasmanterje niezmiernie używane. Wyroby ozdobne z koronki stanowią także wykwintny i bogaty garnirunek. Różne są pomysły w tych ozdobach np. robią pojedyńcze medaljony, liście, kwiaty, kwadraty, i gwiazdy, które w stosowny deseń ubierają spódnicę.

Wielka także rozmaitość panuje co do wachlarzy. Widzieliśmy wachlarze z drzewa inne znów z muszlinu.

Wachlarze wyrabiają zwykle z drzewa cedrowego nadając im rozmaity kolor. To maisowy, to jasno brązowy to znowu nowomodny, popielaty *mysz wylękniona* (gris de souris effrayée). Nawlekają je zawsze wstążeczką odpowiedniego koloru. Wykwintna elegantka niepoprzestaje na saméj rzeźbie, jeszcze swoją cyfrę w tysiącu nieskończonych cugach, lub litery zdobne koroną na wierzchu malować każe.

Wachlarze muszlinowe a raczéj organtynowe muszą zawsze być tego samego co suknia koloru. W wachlarzach tych wielki zbytek panuje i niektóre dochodzą do ogromnéj ceny. Wykwintnie rzeźbiona oprawa zwykle z perłowéj konchy, cyfry i herby właścicielek będąc nieraz arcydziełem sztuki i cierpliwości, takie summy kosztują.

Opis deseni do haftu.

N. 1 i 2. Desenie do wyszycia pantofli sutaszem albo ściegiem łańcuszkowym na suknie lub aksamicie. — N. 3. Połowa karczka do fartuszka dla dziecka układa się w drobne fałdki i kraje przed nią część w całosci. Do pleców takiż sam karczek krajany jest w dwóch częściach, bo fartuszek na plecach otwarty. — N. 4. Połowa rękawka. Tak karczek jak i rękawki obszyte falbanką dzierganą. — N. 5. Całość fartuszka. — N. 6. Deseń na wstawkę. — N. 7. Ząbki do rozmaitego użytku. — N. 8. Szlak do chustki od nosa batystowéj do haftowania nad gładkim szerokim na dwa palce obrębkiem. — N. 9. Narożnik do chustki od nosa. — N. 10. Fanszonik do czepka włoskiego *Katalanka*. Deseń w fanszoniku robi się z aplikacji batystowéj na tiulu. Fanszonik taki używany do diademu ze wstążki albo na wierzch do czepeczka z bufką spadającą w formie siatki. — N. 11. Wzór sukienki dla dzieci dwuletnich z białéj cienkiéj piki przyodobiona falbankami z nanzuku rozmaitéj szerokości z dzierganemi ząbkami, i sutaszem. Spódniczka ułożona w kontrafałdy przyszywa się do taśmy a następnie do stanika, który się z tyłu zapina na białe guziki. Tak stanik jak i pasek są bez podszewki. Szarfa pikowa garnirowana falbanką. Do sukni wełnianéj kolorowéj pasek powinien bydź z czarnéj materji na podszewce. — N. 12. Wzór tejże sukienki z przodu. — N. 13. Suknia z popielatéj alpagi. Stanik z klapeczkami w około objęty wązką skośną materją i garnirowany czarną gipiurą. Epolecik odpowiedni. Bluzka pod spód muszlinowa z długiemi rękawami. — N. 14. Ząbki do falbanek. — N. 15. Deseń dziergany na poszewkę. Punkciki mogą być ażurowe albo wypukło haftowane. — N. 16. Wstawka. — N. 17. Ząbki do połowy poszewki na poduszkę dla dziecka.—N. 18 i 19. Ząbki do rozmaitego użytku. — N. 20. Litery J. K. W.

Opis drugiéj strony haftu.

N. 1. Deseń gipiurowy na poszewkę w rodzaju wstawki. Liście haftowane atłaskiem, prążki powierchownie dziergane. Płótno wycina się z pod prążków żeby były ażurowe, imitujące gipiurę. — N. 2. Połowa kołnierzyka. — N. 3. Mankiet wolny jak u koszuli męzkiéj. — N. 4. Połowa kołnierzyka marynarskiego. Kółka haftowane na obrąbku z kratką ażurową. Cały kołnierzyk z płótna dubeltowego. — N. 5. Mankiet. — N. 6. Całość rękawka. — N. 7. Całość kołnierzyka — N. 8. Połowa kołnierzyka stojącego z wykładanemi różkami. — N. 9. Mankiet. — N. 10. Forma kołnierzyka z dubeltowego płótna najświeższego fasonu. Po zeszyciu kołnierzyka i przewróceniu go na prawą stronę, przestębnowywa się w około. — N. 11. Połowa rękawa tak do sukien wełnianych jak i jedwabnych, fałdowany w ramieniu, a przy ręku wszyty, w mankiet spięty na 3 guziki. Koniuszczki śpiczaste mankieta spadają z boku rękawa na podszewce jedwabnéj. W rękawie przed wszyciem w mankiet dają się dwie fałdy niewielkie. — N. 12. Mankiet całkowity do rękawa powyższego kraje się oddzielnie i spina na 3 guziki szmuklerskie, koniuszczki szpiczaste spadają z boku. — N. 13 i 14. Kołnierzyk płócienny stojący z wykładanemi rożkami. Część stojąca haftuje się na jednéj połowie, rożki wykładane na drugiéj połowie. Po zeszyciu i przewróceniu kołnierzyka stebnuje się w około jak linja wskazuje.— N. 15. Mankiet odpowiedni do powyższego kołnierzyka. — N. 16. Połowa kołnierzyka z płótna lub muszlinu ze wstawką z walansienki, z pod któréj wicina się płótno albo muszlin. — N. 17. Kołnierzyk muszlinowy z aplikacją muszlinową. Kawałek muszlinu kładzie się na kołnierzyk i wtenczas haftują się wszystkie kontury liści i narożnika a kółeczka wypukło. Po wykończeniu haftu muszlin wyciąć trzeba w miejscach próżnych.—N. 18. Wstawka. — N. 19. Alfabet do znaczenia bielizny.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się arkusz z deseniami do hafu i formami.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 36 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 3 Września 1864 roku.

NA CMENTARZU, NA WULKANIE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

Dawniéj po większéj części uczeni, artyści nawet, rośli na pniach wielkich rodzin, możnych domów, dziś coraz mniéj arystokracij krwi w arystokracij jeniuszów... najwięcéj biedaczków na tronie... Przepraszam jeszcze raz Hrabiów i Vice Hrabiów, ale jeźli dawniéj byli plemieniem wybraném, dziś już niem być przestali... I my ludzie z ludu jesteśmy przypuszczeni do uczty ludzkości... zdobywamy nasze miejsca za stołem w pocie czoła i boleści...

Z tego wstępu już się dorozumieć łatwo że nie pochodzę z xiążęcéj rodziny, że ojciec mój był i jest prostym pracowitym chłopem, że nim nauczyłem się lepić z gliny, wyrzynałem z drzewa główki do lalek...

Ojciec mój niema zapracowanych rąk i opalonéj twarzy, wiele myślał i niemając nauki, ma potężne władze, rozwinięte myśleniem samoistném... Gdy ujrzał we mnie cień jakiegoś talentu i porywanie się zawczesne do tworzenia, rzekł mi raz surowo...

— Słuchaj Herman, ty myślisz o sztuce... nie o rzemiośle spodziewam się? Inna więc jest droga aby zostać artystą, nie ta którą sobie obierasz... Stań się naprzód sztukmistrzem w duchu, idź się uczyć, niezaniedbaj rąk, ale nie sądź aby ręczna wprawa więcéj ci co dała nad rzemieślniczą biegłość. Do szkoły! do akademij! a gdy wykształcisz w sobie człowieka, staniesz się artystą, jak zechcesz... bądź nim wewnątrz naprzód... ucz się, myśl, czytaj...

Miał stary wielką słuszność, rzeźbiąc byłbym doszedł co najwięcéj do misternego rzezania poręczy do krzeseł, ucząc się mam nadzieję być godnym imienia artysty... Niezapuszczam rąk, ale piastuję ducha naprzód w sobie...

Udałem się pieszo z węzełkiem na plecach do München, ujrzałem tam dzieła sztuki w całym blasku i majestacie, padłem na twarz przed niemi, poczułem się prochem... a z tego prochu wstaję powoli i mozolnie...

Lżéj zaprawdę było piérwszym artystom co przyszli na świat na najżyzniejsze zagony, my jesteśmy jak owi co po zajęciu kraju przybywają ostatni i najchudsze zajmują ziemi kawałki... użyznić je potrzeba potem czoła... Co najpilniejszego było już stworzono, już wypowiedziano świetnie, potężnie... silnie...

Ale po arcydziełach Michała Anioła w Syxtynie, czyż jeszcze Sąd Ostateczny nie jest do wyśnienia na nowo... inaczéj? Czy po Rafaelu mistrzu spokojnego wdzięku, nie ma do wymarzenia nowéj Madonny?... Obu ich tylko wielbiąc nie trzeba naśladować... ale zapomniéć i z siebie dobyć nowe widzenie...

W nawale mierności pokaźnych i cudownie wielkich a zapomnianych tworów, przebić się, zwrócić na siebie uwagę, ściągnąć sąd i krytykę... trudno jest dzisiaj, powołanie artysty wielkie, zadanie straszliwe... tém lepiéj... Ochotniéj się idzie na stromą skałę...

Nie wszystkim jednak chce się na nią drapać, i to nieszczęście naszéj braci... nie

jeden przebiegłszy muzea, przepatrzywszy wiele, zrozpaczy o sobie i stanie się... rzemieślnikiem... W tém zguba nasza...

Nie grzeszy kto sztukaterją robi od łokcia dla ladajakich architektów, ale winien kto ją robi bez myśli, bez ducha, dla tego że są zapłacone tanio, że jak powiada... mozoł jego nie wróciłby mu się... Dla miłości sztuki wszystko co się tknie z ukochaniem robić się powinno... i to co za trzy grosze robiemy w niedostatku i to co za miljon tworzym doszedłszy do sławy i wziętości.

Nie jeden zaniedbując się w pracach dla chleba powszedniego, gdy zapragnie późniéj pracować dla sławy, nie znajdzie w sobie ducha, którego w sobie zasuszył, zacisnął, udusił sam własnemi rękami...

Ale to są nasze tajemnice i sprawy, dodał...

Radbym państwu czemś tę gawędę zabarwić, a doprawdy mi trudno, jestem więcéj artystą niż człowiekiem... Westchnął i rzekł ciszéj...

— W mém życiu jest tylko jedno wspomnienie, podzielę się niem z wami... nie śmiejcie się z niego proszę, bo by mnie to bolało.

Gdym piérwszy raz samoistniéj pracować poczynał, wszystkiego mi brakło, miejsca, materjału, wzoru... Wielką oszczędnością dobiłem się przecie do najęcia najgorszego studium w całém mieście, ale i to dla mnie było dobrém, bom się nauczył nie wymyślać...

Miałem wszystko już... ale myśl ten gość z nieba... idea nie przychodziła, a potrzeba było wystąpić z oryginalną pracą, aby otrzymać choć mały zasiłek na ową podróż do Włoch, która dla rzeźbiarza zwłaszcza jest koniecznością... Kto nie widział muzeum Pioclementino i bronzów w Neapolu, nie wié jeszcze czém była rzeźba w świecie klassyczném... brak mu jednego zmysłu... jemu muzea Europejskie nie starczą za te dwa... one dają przeczucie, te tylko dają wiedzę przebieżonéj drogi... wszystkiego co uczynione już było... i czego świętokradzko powtarzać nie wolno.

Męczyłem się okrutnie szukając pomysłu do pracy... chodziłem całe dnie szarpiąc mózg na próżno... Myśli było tysiące, wszystkie zużyte spowszedniałe, oklepane, chciałem coś oryginalnego, niewiedząc jeszcze niestety, że cała może oryginalność jenjuszu, jest w formie... liczba idei bardzo jest ograniczoną.

Wychudłem i wybladłem na tém polowaniu za ideą... włóczyłem się w ostatku myśląc że idea gdzieś strzeli do mnie od jakiegoś przedmiotu i rozbudzi śpiącą w muzgownicy siostrę...

Był to dzień jesieni ale złocisty i prześliczny, a jak na słotną i wilgotną Bawarją naszą, ciepły i miły... chodziłem daleko po za miastem nad rzeką, zaszedłem na łąkę pokoszoną... pasły się na niéj najprozaiczniéj w świecie krowy... na kamieniu siedziało dziecię bose, ledwie przyodziane, w szaréj koszuli, ale z głową całą przybraną w polne kwiatki jesieni...

Nagle rzucając wzrokiem roztargnionym, wstrzymany zostałem i przykuty przypatrując się téj istocie niedorosłéj jeszcze, przechodzącéj z dzieciństwa do weselszych bujniejszych dni młodości. Dziewczę to mimo swego opuszczenia, ubóstwa i pastuszéj doli, było najdziwniéj piękne, nieopisanym wdziękiem w którym łączyły się dwa uroki, niewinność dzieciństwa i namiętność nieśmiało rozkwitających dni wiosny... jako rzeźbiarz naprzód oko zwróciłem na kształty... zdumiałem się ich doskonałością... była w nich przez sam wiek ów nadana niby archaiczna jakaś suchość ale zarazem czystość linij i prostota niewysłowiona.

Typ naówczas ten zdał mi się nowym zupełnie, niewiedziałem że sztuka starożytna i nowoczesna już się o niego rozbijały.

Zapaliłem się do mojéj idei, do ubóstwienia w marmurze téj doby ludzkiego życia, która jeszcze nie jest całkiem młodościa, a przestała być już dzieciństwem... W myśli

ujrzałem w niéj Ewę, Ewę piérwszéj chwili niewinności w raju, taką jaką wyszła z rąk Bożych, prototyp niewiasty...

Dzika pastuszka widząc że się w nią zapamiętale wpatruję, rozśmiała się zrazu, wody strumienia musiały jéj już powiedziéć że była piękną, potém odwróciła głowę, i pochmurniała. A była w tym wianku kwiatów z tą ubogą koszulką swą, bosemi nożętami i rączkami cudownie wdzięczną... alem nie patrzył w téj chwili jak na żywą istotę, tylko jak na posąg, do którego za wzór mi służyć miała... Cały przejęty myślą moją, powoli, obojętnie zbliżyłem się do niéj, pies strażnik, który u nóg jéj leżał, poczciwe wierne zwierzę, pokazał mi zęby, zawarczał, dziewczę go pogłaskało i rozśmiało się... a głowę odwróciło odemnie... Nie sposób było z tem dzieckiem przyjść do rozmowy, udawała że nie słyszy. Gdybym był studentem uganiającym się wprost za wrażeniami miłostek wieśniaczych, mógłbym pójść precz, ale miłość sztuki nie dopuściła mi zrazić się. Podobnego typu nie znalazłbym łatwo. Znałem wszystkie modele w pracowniach, żaden nie miał téj świeżości form, téj czystości i prostoty linij, które życie proste i praca ciężka nadały temu codownemu dziewczęciu.

Mimo szczekania psa i odwracań głowy na wszystkie strony, przybliżyłem się do niéj, a głos mój spokojny, wcale nie namiętny i wyrazy proste, nareszcie wywołały niewyraźną jakąś odpowiedź.

— Jak się zowiecie dzieweczko? spytałem...

— Gretchen, odpowiedziała, Faust Gethego i jego utwór pełen cudownego wdzięku przyszedł mi na pamięć, ale mój typ tak był inny, żem się aż pogniewał za to przypomnienie mimowolne, bojąc się by mi jedna idea nie pożarła drugiéj.

— Widzę moje dziecko, dodałem po chwili, że się mnie boisz, wcale nie potrzebnie, jestem artysta... patrzę na ciebie, bo mi się wydajesz piękną... ale bez złej myśli...

Pokręciła głową, rumieniąc się niedowierzająco, musiano ją przestrzedz zawczasu... aby się wystrzegała młodzieży.

— Daleko mieszkacie? spytałem...

Wskazała mi palcem niepokaźny domek za miastem.

— Ot tam, rzekła u wdowy Halm.

— Jesteś jéj córką? Ruszyła ramionami i potrząsła głową.

— A rodzice twoi?

— Nie mam rodziców, rzekła z westchnieniem, jestem sierota... nie pasłabym bydła na błoniu, gdybym nie była sama jedna na świecie...

Piękne jéj niebieskie oczęta zapełniły się łzami...

Stałem opodal napawając się widokiem mojego arcydzieła przyszłego, dziewczę pochwyciła różeczkę i poszła powoli ku zagrodzie, pies z nią, ja za nią. Postanowiłem dostać się do wdowy Halm i pomówić z nią, czyby mi dziewczę nie mogło za wzór do posągu posłużyć.

Wdowa Halm była otyłą kobietą, zasapaną, niespokojną i podejrzliwą, zbyła mnie zrazu hałasem jak ostatniego łajdaka, ale gdym cierpliwie przetrwał burzę piérwszą, poczęła mnie słuchać uważniéj.

Po godzinnéj jednak argumentacij zamknęła drzwi pod nosem, odprawując przekleństwem wcale niemiłem. Odszedłem niezrażony ważąc w głowie jakich środków użyć na dostanie za wzór Ewy, która w téj chwili właśnie niestety doiła krowę w zamkniętym dziedzińcu.

Powróciłem do miasta w gorączce... Szczęściem dla mnie poczciwa moja gospodyni, która mnie dobrze znała jako człowieka surowych obyczajów, podjęła się negocjacij z wdową Halm i dziewczęciem... Skutkiem jéj zabiegów dziewczę zgodziło się stać mi za wzór do mojego posągu, pod dozórem staréj kobiéty, dobranéj za stróża... czego za złe miéć nie mogłem... Stanąłem do roboty z gorączką jeszcze, która czasem tworzy arcydzieła, ale najczęściej przeszkadza

do opanowania zupełnego przedmiotu. W gorączce należy marzyć, ale chłodno wykonywać... choć często i przeciwny proces się trafia.

Myśl moja mózg mi paliła, wyrosła ona tak w mojéj wyobraźni nim Gretchen wytargowano dla mnie, że gdy wzór nadszedł wydał mi się mizernym, nędznym, karykaturą prawie, i ideał go prześcignął, choć na jego tle tworzył... Zląkłem się, ochłonąłem, począłem pracować... Gretchen ośmieliła się powoli, poznaliśmy się bliżéj... Niewykształcona ta istota... obdarowana była z natury równie cudownie na umyśle jak na ciele... niewiem może starzejąc pod ciężarem lat i powszednich trosk byłaby wyszła na bardzo pospolitę niewiastę, ale w téj chwili było to dziewczę zadziwiające... W głowie jéj zarosłéj krzakami niewiadomości, przesądów, ze środka tych chwastów strzelały kwiaty jasne i promienne...

Zadziwiająco czuła instynktowo sztukę... rozeznawała piękne od miernego, olbrzymie od przesadzonego, odgadywała myśl utworów i wyrażała ją po prostu, dziko ale nadzwyczaj trafnie...

Zdawało mi się że ubogacić ten umysł było koniecznym obowiązkiem... namówiłem ją żeby zaczęła chodzić do szkoły i zapłaciłem za nią...

Gretchen stała się moją wychowanicą, w rok poznać jéj nie było można... niestety! dojrzewała jak te owoce, które przed latem opaść mają z gałęzi...

Moja Ewa odlana z gipsu, na wystawie zyskała wielki medal złoty, mogę się do tego przyznać bez chluby, żem istotnie utworzył typ świeży i piękny... alem go był winien téj dzikiéj pastuszce... Niezepsułem wzoru zbytecznie go starając się wywdzięczyć, wyokrąglić, wycackać, zostawiłem tam trochę jego surowości pastuszéj i to właśnie posążkowi nadawało charakter co go odznaczał, był to ideał wszczepiony na płonce rzeczywistości.

Gretchen przychodziła teraz bez obawy, jak dobra siostra do brata i nazywała mnie bratem, umysł jéj, zarówno i ciało szybko, zbyt szybko się rozwijały... W pół roku nieco lepszego bytu, przy pracy innéj lżejszéj harmonja sił inaczéj się w niéj układać zaczęła... wyrosła i stała się dziewczęciem, straciła wiele piérwszego wdzięku ale nabyła nowego... Potém nagle oczy jéj wpadły, oddech się stał ciężki, rumieńce wyskoczyły na twarzyczkę... smutek ją ogarnął, prawie zniechęcenie do życia... Napróżno starałem się tę rozkołysaną duszyczkę i serce ukoić, zażegnać w niéj burzę... Gretchen uśmiechała mi się... ale nie było z nią dobrze.. Wywdzięczając mi się za braterskie zajęcie wychowaniem jéj, którego wartość czuła, podjęła się mojego gospodarstwa... Sama mi zaproponowała potém abym z niéj modelował jeszcze... zrobiłem w rok Hebę prześliczną.. ale niestety! tyle jest Heb prześlicznych! moja będąc piękną jak mój wzór, niezwróciła uwagi, była pospolitą...

Nie była nią wcale Gertchen, inny artysta stworzyłby z niéj może typ nowy zachwycający, mnie przyznaję się, ręka drżała. Serce przywiązało się do téj biednéj, opuszczonéj sierotki... do tego smutnego dziewczęcia a zaczynałem się że wszech miar obawiać o nią... naprzód żeby nie wpadła w chorobę piersiową do któréj zdawała się mieć skłonność, powtóre by w téj chwili niebezpiecznéj tęsknicy dziewiczéj, nie pokochała, nie dała się obałamucić lada melancholicznéj piosnce jakiego bursza jasnowłosego... ale gdym ją oto badał, uśmiechała się z pogardą.

— Pamiętasz mówiła mi... gdyśmy się po raz piérwszy spotkali z sobą, jak pies i ja warczałam na ciebie... odtąd bracie miły, nie zmieniła się ani zmniejszyła moja obawa ludzi i niedowiarstwo... bądź spokojny...

(d. c. n.)